


C. R. Bibl.  Univ. Leop.

58321

I

PR

# HANNA.

OPOWIEŚĆ Z PRZESZŁOŚCI

1858

H. ZALESKIEGO.



W JAROSŁAWIE.

Nakładem i drukiem H. Bohnera.

1861.

# HANNA.

OPOWIEŚĆ Z PRZESZŁOŚCI

przez

H. ZALESKIEGO.



W JAROSŁAWIU.

Nakładem i drukiem H. Bohusza.

1893.



8 MAR 1949



Hej nuto stara! — hej piosnko stara!  
Zadźwięcz mi tonem minionych dni,  
Jakaś mi senna snuje się mara,  
Z dawnej przeszłości coś mi się śni!  
Zadźwięcz mi lutnio pełnemi tony,  
I głos twój dzwieczny w niebiosu rzuć,  
Wydobądź przeszłość z pod jej osłony,  
O przeszłych dziejach nuć mi nuć!  
Ja tak rozkosznie śnię o przeszłości,  
Tak chętnie w szary spoglądam mrok,  
Tyle w tych cieniach widzę świetności,  
Żebym w nich zawsze zatapiał wzrok,  
Wśród zmierzchłych dziej, wśród szarych cie-  
Płaczą się duchy z minionych lat, [ni,  
Obraz ich czynów w oku się mieni,  
Nimi się niegdyś zachwycił świat!  
A dziś związane w niemym spokoju  
Patrzą na życie, nie mogąc żyć,

Po cierniach ziemi, po świata znoju  
Wolno im tylko płakać i śnić.  
Wieleż to pod tą przeszłości pieśnią  
Kryje się cieni, co światłem drżą?!  
Przeszłości moja! witam Cię pieśnią,  
Pieśnią serdeczną, serdeczną łzą!

H. Z.



I.

Piękny wieczór na Podolu  
A uroczy, zwłaszcza latem,  
Gdy się zhoże złoci w polu,  
Gdy bleleją lipy kwiatem!  
O te lipy, dróg strażnice,  
Cicho gwarzą po dawnemu,  
I zbielele kąpią lice  
W rosie, w słońcu, — po staremu!  
Zawsze prawie nieodmienne,  
Gdy pochmurno, wtedy gwarne.  
A gdy słońce świeci skwarne,  
Wtedy cicha, jakby senne,  
Wtedy kładą słońcu tamę  
I rozkoszny chłód sposobią.  
A dla oka wdzięcznie zdobią  
Krajobrazu panoramę.  
Wielki całe stare drzewa  
Obejmują wasze cienie,  
Inne ptasząt pokolenie  
Dla was teraz piosanki śpiewa!

Już tak dawno pod przezroczem  
 Na świat Boży spoglądacie,  
 Cóż dziwnego, że dziś macie  
 Jeszcze dać, gwarzyć o czym? !  
 Gwarcie lipy, liść szeleści,  
 W waszym cieniu ja usiędę,  
 Gwarów waszych słuchać będę,  
 Słuchać waszych opowieści!  
 W waszym smętnym rozhowerze  
 I ja z wami się posmucę,  
 A z tych cichych gwarów może,  
 Jaką piosnkę wam zanucę,  
 I wyspiewam tajemnice  
 Z czasów zmierzchłych, z czasów dawnych,  
 Z dziejów starych, z wojen sławnych,  
 Moje lipy ciemnołice!  
 Mnie nie obca wasza mowa  
 I nie obca, jak te pola,  
 Wasze gwary, wasze słowa,  
 Bo ja także syn Podola  
 A wy stepów wychowanki  
 Wyście równie podolanki.

Dawno temu na tej ziemi  
 Między liśćmi drzew cienistych,  
 Nad potokiem wód srebrzystych  
 Widniał ściany bielonymi

Piękny dworek, oku miły,  
 Choć go sztuki nie zdobiły,  
 Lecz zdobita go uroda,  
 Dach słomiany, drzewa, woda,  
 Co szemrała blisko w dole  
 I bocianie gniazdo w kole,  
 I płot żywy z winogrodu,  
 Co się oplótł w koło sadu,  
 I ta przyzba koło proga,  
 Z której widna była droga  
 Między starych lip szeregiem  
 Tak daleko, że aż z błęgiem  
 Szare swe zwięzła wstęgi,  
 A odległe widnokregi  
 Oku ślad jej zagubiły!  
 Piękny dworek, cichy, miły  
 I rozkoszny, jakich mało,  
 Zdala oku był pociechą,  
 Tak jak gdyby pod tą strzechą  
 Samo szezęście zamieszkało!  
 Rankiem, kiedy słońce świta,  
 I chór ptasząt śpiewem wita  
 Pierwsze blaski dnia wachodzące  
 A brylanty rosy isniące,  
 W słońcu topią swe spojrzenie —  
 I tysięcznych barw promienie  
 Sieją w okół — w dworku progu



Płynie dźwięczna pieśń poranna,  
 Którą nuci Panu Bogu.  
 Srebrnym głosem piękna Hanna!  
 Piękna dziewczka, blask urody  
 Czoło jej otoczył wiankiem!  
 Nie raz w białej wyjdzie rankiem,  
 Krucze włosy na zawody  
 Puści w płasy z wiatru technieniem,  
 Wiatr roztrąca włos od czoła,  
 Piękna Hanna objawieniem  
 Zda się wtedy być anioła,  
 Taka cudna i świecąca  
 Jak uroczy blask miesiąca.  
 Nie raz w chyłym przemknie locie,  
 Jakby ptasie skrzydła miała,  
 Jakby ziemi tknąć nie chciała  
 A w słonecznym nikła złocie!  
 Choć odludna okolica,  
 Wiedzą dobrze młodzi przecie,  
 Że na całym Bożym świecie  
 Najpiękniejsza to dziewczyna, —  
 Często zatem po pod dworem,  
 Wczesnym rankiem lub wieczorem  
 Pomknie jaki młodzian żwawy,  
 Rzuci w ogród wzrok ciekawy,  
 Czy nie spotka się z wejrzeniem  
 Pięknej dziewy igrającej

Czasem z letkiem wiatru technieniem,  
 Czasem znowu tak płynącej,  
 Jak po rosie blask księżycy,  
 Gdy swem srebrem świat oświeca.  
 I nie jeden młodzian żwawy  
 Dla rodzica pilnej sprawy.  
 Jadąc z domu brał rozkazy,  
 By najpilniej w dom powracał,  
 I polami drogę skracał,  
 A on przecież kilka razy  
 Mnożył długość swojej drogi,  
 Aby jechać po pod progi,  
 Gdzie zobaczyć mógł dziewczę,  
 Piękną Hannę, cud urody,  
 Uśmiechniętą jej jagody,  
 Szafirowych ocząt dwoje  
 I zwój kruczych jej warkoczy, \*  
 Co ramiona przystaniały  
 I ciekawe w zachwyt oczy  
 Swym widokiem wprowadzały.  
 Nie raz w długim lip szeregu  
 Koń za koniem w lot pomyka,  
 Jeden z końca, drugi z brzegu,  
 Ten się zjawia, tamten znika!  
 Czasem widać pacholeta  
 W karmazyny nawet strojne  
 I bogato, suto zbrojne,

Jakby jakie królewicta!  
 Raz się zjawił w jasny ranek  
 Smukły młodzian czarnooki,  
 Był to dzielny rycerz, Janek.  
 On już zwiedził świat szeroki,  
 Bywał wiele na obczyźnie,  
 Znał rycerskie sprawy, boje,  
 Wiernie służył swej ojczyźnie  
 I w potrzebie życie swoje  
 Chętnie dla niej niósł w offerze!  
 On pokochał Hannę szczerze.  
 Raz z nią mówił, raz jedyny  
 I raz jeden spojrzał w oczy,  
 Uśmiech jeden wziął uroczy  
 I już więcej tej dziewczyny  
 Jego dusza rozmarzona  
 Nie zapomni póki życia,  
 Wszędzie przy nim, zawsze ona.  
 Czy to marzy wśród ukrycia  
 O wojennej swojej sławie,  
 Czy też we śnie lub na jawie  
 Rzuci myślą pod niebiosa  
 Zawsze Hanna czarnowłosa  
 W dziwnych marzeń jego stoku  
 Niby anioł na obłoku  
 Zjawia mu się przed oczyma!  
 I spokoju Janek nie ma.

Dusza rwie się za aniołem,  
 Co mu zawisł ponad czołem,  
 Płynie tęskna jego śladem,  
 Ponad dworem, ponad sadem.  
 Aż w te strony, kędy drzewa  
 Tajemnicze gwary wiodą,  
 I gdzie ptasze lubie śpiewa  
 A unosi duszę młodą!  
 O! tęsknica czasem pali  
 Niby ogień z pod puklerza,  
 I choć pierś okuta w stali,  
 Serce przecie w niej uderza  
 A na oko łzę sprowadza!  
 Zwykle to są życia dzieje,  
 Zwykła to miłości władza,  
 Jej rozkosze i nadzieje,  
 Wszystkie smutki i słodyczy,  
 Których ziemia nie przeliczy.  
 Tęsknił Janek, więc o świecie  
 Ruszył w drogę w imię Boże!  
 Nie był pewny, czy z nim życie  
 Zechce Hanna dzielić może.  
 Gdy był w polu, snop promieni  
 Przez mgły zaczął wolno spływać  
 I z pod mroku szarych cieni  
 Świat przeczadny ukazywać!  
 Janek patrząc w blask ten ranny,

Co mu chmury porozwiewał: —  
 Do Najświętszej niebios Panny  
 Z pełnej piersi pieśń zaspiewał!  
 A dzień wydał się jaśniejszy,  
 Smutek z duszy gdzieś zaginął,  
 I świat zdał mu się kraśniejszy  
 A on stepem niby płynął.  
 Wiatr mu cesał bujne włosy,  
 Które z technieniem tam igrały,  
 I ptaszęta swemi głosy  
 Pieśni Janka wtórowały.  
 Wreszcie w dali, jak w obrazku  
 Na zielonem tle murawy  
 Zeszedł las, a przy lasu  
 Biały dworek, dach szarawy,  
 Srebrny strumień tuż przy dworze.  
 Koń iść stępo już nie może!  
 Janek wspiął się na strzemionach,  
 Całą przestrzeń objął okiem,  
 I jak wichur po zagonach  
 Pędził, kryjąc się obłokiem,  
 Co z pod końskich kopyt płynął,  
 Wzłatał w górę i tam ginął.  
 Dziarski konik w skokach płasł,  
 Często bując grzywą wstrząsał  
 I rwie ziemię z pod kopyta,  
 Nozdrza wzdyma, kark przegina

I wędziłdem w zębach zgrzyta.  
 Rycerz Janek, pańska mowa,  
 Pańskie dziecię znać z dala  
 Dzieinnie konia swego wiedzie,  
 Ku dworowi prosto jedzie —  
 Może go tam Hanna czeka?  
 Zwrócił Janek wzrok sokoł  
 Na bielone dworku ściany . . .  
 Snać, że chciał być powitany,  
 Bo poruszył swój sokoł  
 Kołpak zlekka, dłoń przy oku  
 Tak pochylił, że blask słońca  
 Nie przyćmiewał mu do końca  
 Krajobrazu i widoku —  
 Patrzył długo nasz młodzieniec  
 A na lica mu wypłynął  
 Jakiś uśmiech i rumieniec.

Kiedy lipy stare minął  
 I do dworu zwrócił z drogi,  
 To arabezyk wiatronogi,  
 Co znać musiał pańskie sprawy,  
 Pański pospiech do tej chaty  
 Jeszcze chyżej wśród kurzawy  
 Mknął jak orzeł — ptak skrzydlaty,  
 I nie wstrzymał się w tym pędzie  
 Aż na cichej dworku grzędzie.



Już za pierwsze wjechał wrota  
 I przystanął koło proga,  
 Kiedy wyszedł pan Lasota  
 Z powitaniem w imię Boga!  
 Pan Lasota, ojciec Hanny  
 Był wysoki i barczysty  
 Wzrok miał ostry ale czysty.  
 Smutek widniał nieustanny  
 Na tem czole pomarszczonem  
 Pełnym zwojem białych włosów,  
 Gdyby wieńcem otoczonem.  
 Musiał wiele przeżyć ciosów,  
 Musiał stary ścierpieć wiele!  
 Nie żył z nikim, jak w kościele  
 Taką w domu niewał ciężę  
 I wiódł życie, jakby mniaze.  
 Trudna była z nim rozmowa  
 Mówił mało po pół słowa  
 Więcej patrzył, dumał więcej,  
 Hannę kochał najgoręcej!  
 Nie raz długo się wpatrywał  
 W pięknej swojej Hanny lice,  
 O czemś marzył i zgadywał  
 Serca córę tajemnice.  
 Nie raz patrzył w Hanny oczy  
 A tu lica jakoś zbladły.  
 Jakas chmura czoło mroczy

I dwie gorzkie łzy mu spadły,  
 Lecz ślad lez tych wnet zacierał.  
 Wypogadzał smutne czoło  
 I przez boleść tak spozierał.  
 Jakby mówił, że wesolo  
 Jeszcze żyć mu na tej ziemi!  
 Dziwnie dano nam w podzielo  
 Wraz z troskami tysiącznemi  
 Szczęścia, doli tak nie wiele,  
 Czasem szczęście, jak nic złota  
 Wplata w jasne dnie żywota  
 Swych uśmiechów wonne róże  
 Przez czas długi stale, wiernie, —  
 Ktożby myślał, że przez burze,  
 Przez ły troski i przez ciernie  
 Dalsza życia biegnie droga  
 Do wieczności i do Boga!  
 Ktożby myślał, gdy z uśmiechem  
 Widzi szczęście swoje wszędzie,  
 Że wspomnienia tego echem  
 Kiedyś gorzko płakać będzie. —  
 Dziś się cieszy szczęsną dolą,  
 Co mu życie opromienia,  
 Błaha radość, bo wspomnienia  
 Czasem bardzo — bardzo boją.  
 I Lasota w tej ustroni  
 Długie smutne przeżył lata,

Tu od wspomnień uciekł światła  
 I po szczęściu tu łączy roni,  
 Co raz tylko mu zabłysło  
 Na tej ziemi z woli Pana.  
 Krótko trwalo — potem przysło  
 Niby bańka snów mydlana.  
 Nawet Hanna choć wesola  
 Nie usunie mu chimur z czoła.  
 Bo ta córka, ta nadolna  
 Tak do matki swej podobna,  
 Jak dwie krople czystej wody,  
 Ach ta same modre oczy,  
 Kruczonych włosów zwój warkoczy  
 I te same dwie jagody  
 W pamięć mu przywodzą zawsze  
 Dawne szczęście, dawne dzieje  
 I przebytych trosk koleje,  
 Dawne losy dlań łaskawsze,  
 I tę sercu, duszy miłą  
 Towarzyszkę jego życia,  
 Dzisiaj spiącą pod mogiłą. —  
 Ona dawszy u powicia  
 Jego Hannie ziemskie szaty,  
 Sama zgasła. — Piękna, młoda  
 W zasłoneczną poszła świątę.  
 O mój Boże jaka szkoda.  
 Nawet Hanna jej nie znała,

Nie spotkała się z pieszczotą  
 Czulej matki, nie słyszała  
 Słów jej dźwięku, bo sierotą  
 Od pierwszego technienia była. —  
 Dla Lasoty ta mogiła  
 Zamykała wszystko w sobie,  
 On też po niej był w załobie,  
 Od lat wielu płakał po niej,  
 Czasem długo dumał, marzył,  
 Lub przed Bogiem się uskarżył  
 Czasem też się modlił do niej!  
 Janek witał się z Lasotą  
 I do kolan mu się skłonił. —  
 Janek także był sierotą,  
 Po rodzicach już łączy ronił.  
 Ojciec zginął przed latami,  
 Broniąc ziemi do ostatka  
 W krwawej walce z tatarami,  
 Potem zmarła Janka matka,  
 Po niej wylał też nie mało,  
 Czuł sieroctwo, opuszczenie. —  
 Dziś nad grobem jej wzrastało  
 Piąte kwiatów pokolenie.  
 Przedtem zanim Janek młody  
 Puścił konia na zawody  
 Z wiatru technieniem, by przez pola  
 Niósł go chyżo w kraj Podola,

Gdzie Lasotów dom widnieje,  
 Poszedł pierwsi swe nadzieje  
 W m gilyn matki progu,  
 Wspomnawszy Panu Bogu  
 Tu ot mowit paterz ranny,  
 Z tąd na duchu po eszora  
 Ruszył w drogę — w górnym  
 Prosił ręką pięknej Hanny  
 Czuł że jakaś niewidoma  
 Dziwna ich łączyła siła.  
 Tak ma Hanna miłą była,  
 Że ta serca chęć kryjoma  
 W każdej myśli przebiegała,  
 W duszy coś szeptało skrycie,  
 Że i Hanna go kochała  
 A on za nią daby życie!  
 Ha więc cóż miał do wyboru  
 Życ samotne i w tęsknicy?  
 Lepiej jechać wprost do dworu  
 I pokłonić się dziewczycy,  
 Ojcu Hanny wyznać szczerze,  
 O czem młode marzy serce,  
 A gdy dobrą chęć odmierze,  
 Prosił paunę na kobierce  
 Gdy wazedł tylko na pokoje  
 A Lasota słowa czekał,  
 Janek dłużej nie odwracał,

Jął apowiadać chęć swoje  
 Od pierwszego ich złączenia  
 A prastarym obyczajem  
 Padłszy do nog ojc panny,  
 Prosił, by go wziął za zięć  
 I oddarzył ziemskim rącem  
 Darząc ręką pięknej Hanny. —

Długo potem rozmawia,  
 Nikt nie słyszał ich rozmowy  
 Aż Lasota wyszedł z sali  
 I podążył do alkowy.  
 Którą Hanna zajmowała  
 Hanna gościa już widziała,  
 Podpatrzyła go z daleka  
 Gdy był jeszcze pod lipami  
 Teraz дума, teraz czeka  
 Słyszcy ojca krok pod drzwiami  
 Szafirowe spuszcza oczy  
 A serduszek tak uderza  
 Ledwie z pierci nie wyskoczy!  
 Wazedł Lasota, prosto zmierza  
 Ku nadobnej swojej córce,  
 Patrzy na nią, a w łazurze  
 Pięknyu ocząt jej widnieją  
 Noy trwoga i niepewność,  
 Niby jakaś smętna rzewność

Ziewająca się z nadzieją,  
Spoglądał ojciec w Hannę leżą,  
Ona dziwnie pokrasnała —  
Skręca serce tajemnicę  
W dwa rumieńce się przelała  
Wzrost i pytać nie trza było  
Czy Jankowi będzie rada  
Jej serduszek, co dlań bęło.  
Całe w oku się spowiada  
I wyjawia chęć tajemnicą.  
Hanno moja proszę ze mną —  
Szepnął ojciec, Piękna Hannu  
Idzie przy nim cicha, drżąca,  
W białej szacie tak świecąca,  
Jako zorza ta poranna,  
Co poprzedza dnia promienie  
I rozprosza nocny cień  
W chwilę potem już Lisota  
Bogobawił dzieci swoje  
Na nieziłane dnie żywota,  
Wspólne szczęście, wspólne znoje,  
Spoglądał w mienno długo, rzewnie,  
Usta jakoś w pół otworzył  
I nad dziećmi ręce złożył  
I serce i uszy modlił pewnie  
Bo jak mu zadrgały  
I po kench lzy spływały

W parę niedziel naa wieczorem,  
Przed Lasoty skromnym dworem  
Było gwarno i wesoło —  
Wiele szlachty dziewię wiele  
Pozjeżdżało na wesele  
I dom cichy zawrzał w kolo  
Radosć w każdej widna twarzy  
I tłum cały się weseli  
Tylko drużba smutno marzy  
I radości tej nie dzieli  
Młody Staszek bladolicy  
Cos spożera bardzo smutno,  
Musiał dołąć młec okrutną  
Bo lza błyszczy mu w źrenicy.  
Lecz w tym całym gwarzym tłumie  
Smutku poznać nikt nie umie.  
Bo któż pytam zauważy  
Wśród wesolych tyu twarzy  
Zachmurzone jedno czoło,  
Lub lzy skryte pod powieką.  
Ktore bolem serce pieką  
Gdy tu wszędzie tak wesoło  
Dano ucztę, winu, mody,  
Wypróżniały się puhary  
W ręce młodej pił pan młody,  
Jak obyczaj każe stary

## II

W wielkim swiatle kołowrocie  
 Jest porządek niezmieniony,  
 Słońce, księżyc i gwiazd krocie  
 Mają bieg swój naznaczony,  
 Wschodzą co dzień, co dzień gasną,  
 Czas upływa po ich biegu,  
 A Mistrz wielki dłońią własną  
 Stawia gwiazdy do szeregu  
 I kieruje ich obrotem  
 W lazurowej tej głębinie,  
 Co zwać świata kołowrotem,  
 Jedynym torem wszystko pynie  
 Wszystko z wielkiej Mistrza mocy,  
 Który dłońią gwiazdy wodzi  
 I sprawuje, że noc wschodzi  
 Zawsze po dniu, dzień po nocy  
 Tym porządkiem dawno słońce  
 Utonęło za gorami.  
 Przyszły ciemne, nocne gońce  
 I objęły jak skrzydłami  
 Świat ten cały. Od tej chwili  
 Noc swą władzę rozpostarła,  
 Pod jej ciemnym ziemią zmarła.  
 Żaden więcej ptak nie kwili

I owadów ścichły ewary  
 I na strzesze już hucanie  
 Dawno zmilkło zlekotanie  
 I lip starych ścichły gwary  
 W dworku tylko światło płonie  
 I przez szyby blask rozalewa  
 Na aspidochelony  
 I na wonnych kwiatów szarfach  
 Tu w komnacie pochylona  
 Nad dziecięcia jasnym czołem  
 Sierci Hanna rozmarzona  
 Pięknym zda się być aniołem,  
 Cała dobroć w licach, w oku,  
 Piękność duszy w niej widać je,  
 Niby tęcza na obłoku  
 Jasne światła w okół słońce  
 Dziecię śmieje się i kłania  
 Patrzy w matkę uśmiechniętą,  
 W tej uroczej, cudnej chwili  
 Ona zarze się być swą!  
 Nic dziwnego, wszak dziewczę,  
 Gdy przybiera matki imię,  
 Poświętoscą zdoła być.  
 Bowiem tak jest napisano,  
 Że w jej sercu Bog zespół  
 Wszystką miłość dla dziecińcy,  
 Że ją do swej wznosi wyżyny



Gdy jej matką być pozwolił  
 Bowiem tak jest napisano  
 Że przez święte matki miarno  
 Chrystusowe słowo wzrosło.  
 Rozświecało ciemnie, nocą,  
 Wznosiło kościoł na oporze  
 I królestwo Boże wznosił.'

Jarek przy niej stał schylony  
 I podziwiał wzor niebianki  
 Wzor domowych cnót kapłanki.  
 W leca Hanny zapatrzoną,  
 Nie uważał, że chwilami,  
 Małe dziecko szazemotało.  
 Że drobnymi usteczkami  
 Jego imię wypiewało.  
 Nie uważał, że pieszczotą  
 O nim słodkie snuła baśnię  
 I że stary pan Lasota  
 Konczył modły teraz winsnie.  
 On swój paciierz dopowiadał  
 Błł się w piersi, a na czole  
 Krzyż, święte znamię składał,  
 I że jeszcze jakie bole  
 Przehył kiedyś, lecz mu leca  
 Zdobił teraz blask spokoju —  
 Nie świeciła już żrenica.

Śnać po ciężkim życia znoju  
 Miał spoczynek cichy, miły -  
 A co chwila się spodziewał  
 Zejść się z żoną u mogiły  
 Wtę i łez już nie wylewał.  
 Nie trapiła go tęsknota  
 Bo przeczuwał, że co chwila  
 Już dla niego śmierć Achyla  
 Do wieczności otwiera wrota.  
 I dla wszystkich dnie w tym dworze  
 Tak szczęśliwie przepływały.  
 Jakby nigdy nigdy moze  
 Dla nich skonczye się nie miały —

O! ty szczęście! Twe promienne  
 Wszystkie technienia zespolone  
 Toż to marzy na pół senne  
 W ludzkich sercach urojone!  
 Po coż ludzkość swoją siłą,  
 Przez uśmiechy w przepaść zwodzisz?  
 Poczóż rozpacz i łzy ruczysz?

Ciebie nie ma — i nie było,  
 Ty gdzieś mieszkasz w innej stroni  
 Tam na gwiazdach lub księżycu,  
 Tam twe światło ciągle płonie  
 Człeka nie przejrzy się w twem lecu,  
 Lecz go zwodzi twoje tennienie

Twe oblicze tak uładne.  
 Twych czarownych ocz spojrzene.  
 Twe usanechy boskie cudne.  
 Że się ludziom czasem zdajesz  
 Takie bliskie przed oczyma,  
 Że im swoją dłoń podajesz  
 A tymczasem Ciebie nie ma

Ciemno wszędzie, noc ponura  
 Błękit nieba przysionila.  
 Jakas ciężka czarna chmura,  
 Jakby pełna gromów była  
 Dziwną ciążę rozpostarła! —  
 Jak przed rykiem strasznej burzy  
 Gdy się czoło niebieskie schmarzy  
 Zemla zwykle jak amaryn  
 Wyczeka tych przewrotów.  
 W ~~tem~~ ~~tem~~ głosy i grzmoty  
 Których siła i potęga  
 Gdzieś aż na dno ziemi sięga. —

Na tem niebie, co chmuram  
 Zasepiło wzrok swój azawy  
 Tam daleko za lipami  
 Błysnął jakiś łuk jaskrawy —

Zia to wroźba, widać z dala  
 Łuk się wznosi: sarkany  
 Braski coraz szerzej świecą —  
 To się Staeha wioska pali!  
 ECHO nieme dzwonów dzwięka  
 Głosnej wrzawy straszne krzyki  
 I wystrzały, i pisk dzika,  
 I walczących broni szczęk  
 Drżą odgłosem lip konary  
 Że to wojna, że Tatarzy!

Na Lasoty wiecznym dworze  
 Gorączkowe życie wrzało  
 Sam Lasota stał w komorze.  
 Dwóch służących wybierało  
 Z skrzyń żemuznych proch i ołow  
 Wszystko spieszy, bo gość będzie  
 Lada chwila na tej grzędzie!  
 Tatar, jakby lot sokorów  
 Miał w ustadze — tak przez pola  
 Uciechy z wietrem ~~nie~~  
 Łuną ognia kraj oświeca  
 I wyniszczyje pół Podola!  
 Stary ojciec brat rusznie  
 Zamki bada: opatrywał,  
 Miał spokojne przytem ace,  
 Do pospiechu tylko wyzywał.

Choć się każdy dobrze związał  
 Gdy już skrzynie wypróżnili  
 Sam Lasota bronił ułam. —  
 Na majdanie zaś w tej chwili  
 Janek wprzegął do karoc  
 Cztery swoje dzielne konie  
 Aby w cieniach czarnej noc  
 Długo schronienie dziecku zowie. —  
 Biedna Hanna przerażona  
 Małe dziecko utuliła,  
 Przycisnęła go do łona  
 A dziecina jej kwiliła.  
 Bo ją straszny krzyk zażarty,  
 Co tu płynął echa zwrotem!  
 Już Lasota poza płotem  
 Stawał czujne w koło warty  
 Już w karocy konie stały,  
 Tylko jeclae manowcami  
 Lecz w tej chwili zatętniały  
 I kopyta pod i pami  
 Jakis jeździec czwałem sadził  
 W drodze szablą giętko brzękał  
 Skręcił z drogi, rów przesadził  
 A za płotem zamek szczękął  
 I z za lasu wprost do gory  
 Wznosił się wylot jednej rury  
 Jeździec pędził, jak szalony,

A kopyta echem grzmiąły,  
 Koń się pient, czy był biały,  
 Pędził widac z tamtej strony,  
 Gdzie Tatarzy już gościli  
 Kto ten jeździec w takiej chwili  
 Nikt się nie mógł o to pytać,  
 Chyba kula, gdy się może  
 Z jego sercem będzie witał.  
 Gdy mu młodą pierś rozporze. —  
 Jeździec w czwale, a ruszmej  
 Wylot za nim jak cień chodzi  
 Kozak po nim ciągle wodzi  
 Straszna miarą swej żreńcy  
 Wreszcie doszł — ani kroku  
 Tu kres drogi — szepnął sługa  
 Ufa! ręce — ufa! oku . . .  
 Zagrzmiął wystrzał . . . chwila długi  
 Uplynęła — Koń bulany,  
 Przy kurbacie krwią zbрызгany  
 Sam na majdan wpadł przez wrota —  
 Zadrzał Janek drgnął Lasota  
 I zaledwie oczom wierzył —  
 Koń był Stacha — więc Stach nie żył

Nim płomienie tej pożogi  
 W wiosce Stacha zaswieciły,

Nm się w mebo pełne trwogi  
Głosy biednych ludzi wzbiły. —  
Stachu w samotnym dziedzińcu  
Dumał, tęsknił W oścież dionie  
Rozpalone narył skronie  
I coś szeptał     pacierz może,  
Przed nim     tę kwiat zeschnięty,  
Spać pamięta jakas młoda,  
Jakś wspomnień szczątek święty  
Przeszłej doh, co się skrył  
W zachmurzonym gdzieś obłoku  
Tę pamiętką już od roku  
Stach zbolate serce pieści  
A tak przywykł do boleści  
Cichej, niemej, że jej władza  
W zapomnieniu go wprowadza  
I pozwala mu czasami  
Życ przeszłości marzeniom..  
Los, co miał być okrutnym  
Gdzieś za myślą pozostaje  
I Stachowi się wydaje,  
Że śni tylko snem tak smutnym,  
Że kwiat zeschnięty jeszcze żyje  
W uśmiechniętej pierwszej wiosnie,  
Na gałęzi mirtu rośnie,  
Patrzy w słońce, rosę pije,  
Że go szczęśny śnow korbać

Wpierw jeszcze w ślubny wianek  
On zapomniat, że kwiat młody  
Hanny ręką nie utośna  
Już zerwany był na gody!  
Byłby może płakał głośno,  
Gdyby nie to zapomnienie,  
Co mu mrzonek światło ranne  
Powracał przez marzenie,  
Bo on piękną kochał Hannę  
Czemuż Hanna sny rozwiała?  
Czemuż serce ma zrania?  
Ona Stachu polubiła  
Ale nigdy nie kochała  
Gdy Stach umiał szczęści w nily  
W dawnych mrzonkach zatopiony,  
Do komnaty wpadł przez szyby  
Przerazliwy blask czerwony,  
A z nim razem straszna wrzawa,  
Która z każdą chwilą rosła,  
Skrzydłem echa wieść przeniosła  
Że z tatarzem będzie sprawa.  
Stach na czoło krzyż położył  
Ucałował kwiatu szczątek  
I na piersi go swej złożył  
Przy skarbnicy swych pamiątek  
Przy swem sercu W jednej chwili  
Ze spokojem w bladoj twarzy

Stach był zbrojny a Tatarzy  
 Ku dworowi wprost pędzili  
 Konia sobie okuliaczył  
 Na swą strzechę rzucił okiem,  
 Zegnał już się z jej widokiem  
 Raz na zawsze bo zobaczył,  
 Że się po niej krwawe wstęgi  
 W fantastyczne wity krę

Dosiadł konia dobył korda  
 I ku bramie gwałt z kopyta —  
 W bramie jednak dzika orda  
 Wystrzelała Stacha wita.  
 Rzuciła sobą bułan szparki  
 I brzeszczoty w ogniu błyszczą.  
 Kipi wrzawa, grzmia Janazarki,  
 Latające kule świszczą —  
 I galezie z trzaskiem i  
 Dym się wznosi, iskry świecą.  
 Stach parł konia, a szablę  
 Rzucił, gdyby błyskawica —  
 I grzmie jego stal błysnęła  
 Tam jęk głuchy odpowiadał  
 Że gorąca krew płynęła  
 Że tam Tatar z konia spawał —  
 Ie razy wzniósł prawicę,  
 By nowymi obrotami

Nakierował swą szablę  
 Tyle razy krew kroplali  
 Dłoń świętą obawiali.  
 Czerń tatarska zle strzelala —  
 Żadna kula swoim biegiem  
 Nie zwała jeźdźcę z konia,  
 On tymczasem za szeregiem  
 Był tatarskim i przez błonia  
 Gnał jak wicher Świat mu w oku  
 Tak się mienił jak pędzona  
 Wielkimi ciemnymi na olboku  
 Tylko łuska mu czerwona  
 Przyświecała ponad drogą. —  
 Choć tak szybki lot bułanka  
 Tchyl zapierał, Stach ostrugą  
 I o go przecie, ho do Jauka,  
 Bo do Hanny spieszo było. —  
 Chciał okryty ciemną nocą  
 Przyjść im jeszcze w czas z pomocą  
 Jego serce dla nich było —  
 Miał lpy, zwrócił z drogi  
 Ku Lasoty richej strześci,  
 Koń bułanek, wiatronogi  
 Poszedł Stacha misie —  
 I w tej chwili poza płotem.  
 Błysnął jakiś blask czerwony —  
 Stach się zinnym oblat ptem



I padł z konia krwią zbaczony —  
Otwart oczy nieprzytomnie,  
Jakoy niemi chciał wydestać'  
Z nocnych cieni Hanny postać'  
Luba moja — nie płacz po mnie —  
Szeptał z cicha rozmarzony,  
A koral sznur czerwony  
Z piersi toczył się gorący! —  
W duszy błogość jakaś świta  
Jak poranku blask wchodzący,  
On powietrze ręką chwytą —  
Chciałby szczególnie, co w śnie ptomie  
W swem rozdartem ukryć łonie. —

Życie ludzkie wale mieści  
W sobie smutku i boleści,  
Rzadko kiedy różę wplata.  
W ten uwiąd z cerni wianok  
Ale wieczor — jak poranek  
U tamtego granic świata  
Ściele piękne wonne kwiecie —  
I tak zawsze każdy z ludzi,  
Gdy usypia lub się budzi,  
Cierze szczególnie na tym świecie.  
Stach usypiał snem rozkoszy,  
Cisza wieka była w koło.  
Nikt tu marzeń mu nie spłoszy,

Co mu do snu blade ozolo  
Jak w powieci otoczyły —  
Cuda rajskie mu się śniły  
Widział Hannę. — Dziwna Hanna  
Skrzydła miała u swych ramion  
I anielskich wiele znamion,  
A jak gdyby mgła poranna  
Tak płynęła po obłoku.  
Blask na leach i blask w oku  
Ponad całym świecił światem.  
W tym śnie Janek był jej bratem  
A Stach przy niej stał radosny.  
Słuchał pięknych słów jej dźwięku,  
Dłoń jej trzymał w swoim ręku,  
Zbierał barwy cudnej wiosny,  
Tęczę całą zdjął z niebiosów  
Kilka gwiazdek, blask miesiąca,  
Wplotł to wszystko do jej włosów!  
Ona, cicha a świecąca  
Z nim bujała po błękitach,  
Łącząc ziemskie z niebem życie. —  
Hanna mu się uśmiechała  
Cała w świetle, w blaskach cała!  
Oddychał jednem tożnieniem,  
Jednem ramion poruszeniem  
Gdzieś płynęł w świat ośmienny,  
Bez przestrzeni — na pół senny

W świat zasunty błękitami  
 Między niebem a chmurami

Dwór Lasoty zadrzał cały,  
 Wiosnę obiegał go piorunem,  
 Wszystkich usta powtarzały,  
 Że koń Stacha był zwiastunem  
 Jego śmierci, — więc Lasota  
 A z nim Janek z kozakami  
 Wypadł przedko poza wrota  
 I w ciemności szedł polami —  
 Łuna tylko przyswiecała  
 I pożogi odbłask krwawy,  
 Przy jej świetle na tle trawy  
 Błysła Stacha szablą białą —  
 Przy niej obok spał szczerśliwy  
 Stach właśnie błogi, — Czy był żywy,  
 Czy ranny, czy umarł  
 Trudno dalece — usta zwarty  
 Tajemnicę jego życia  
 Nie znał śladu serca i  
 A  
 Które przywleki kozak stary,  
 Ten sam kozak, co nie my  
 Gdy powierzy cel zrenicy  
 Do wystrzału swą ruzę

Biedny starzec tak spoznierał,  
 Jakby w nim zanarła dusza,  
 Tylko oczy z łez omeral  
 Wylatami od kontusza  
 Wreszcie zaklął głośno stary  
 W łkanie widad dacha mekę  
 I w  
 Pragnął biedak, by Stach ożył —

Szli z marami do zagrody  
 Wszystko w ciszy w okół spało  
 A mleczona przerywał  
 Jak co wolne ich stąpanie  
 Kozaka głucho tkanie  
 Słyszane pod niebiosy  
 Okalanej rzezi głosy  
 Wnieśli mary do komnaty  
 Wzysk  
 I nikt z  
 P  
 W  
 Z  
 I

Lekkiem technieniem poruszony.  
 Dał nadzieję, że Stach może  
 Jeszcze żyje. Piersi umarła  
 Drgać nie mogła. Piękna Hanna  
 Dłoń na jego czole sparała  
 A w źrenicy nienastanna  
 Łza litości jej świeciła,  
 Dłoń jej życia blask roztoczy,  
 Bo Stach podniósł smętne oczy  
 I wyjąknął — Hanno miła,  
 Hanno droga, nie płacz po mnie. —  
 Potem cicho nieprzytomnie  
 O czymś gwarzył niby we śnie  
 I uśmiechał się boleśnie,  
 Wszystkich oczy za nim zwrócone  
 Podnosiły się do nieba,  
 Wszyscy czuli, że potrzeba  
 Sakramenta dać mu święte. —  
 Czas upływał, a nie sposób  
 Zostać Hannie na tym dworze  
 W otoczeniu kilku osób.  
 Kiedy Tatar najść tu może!  
 Hanna głowę, serce biedzi,  
 Ale trudno czas do drogi,  
 Tu pod bokiem Tatar srogi,  
 A po drodze gdy sasiędzi  
 O napadzie się dowiedzą,

To użyczą im pomocy  
 A być może w cieniach nocy,  
 Że i wroga w czas wyprzedzą.  
 Przytem Stach obudza trwogę,  
 Bo wymaga wiara święta.  
 By przed zgonem w Sakramenta  
 Zaprotrzyć go na drogę  
 A on kona widać przecie,  
 Że niedługo go na świecie  
 Tak śmiertelnie został ranny  
 Półtora w cieniach nocy  
 Wsiadła Hanna do karocy  
 I Stach sparty obok Hanny  
 On w gorączce o czymś marzył  
 I bezładu z sobą gwarzył  
 I tak żegnał, żonę rzewnie,  
 Zgubił dziecię ulubione  
 . . . . .czotami tak napięte,  
 Że mu całe niebo pewnie  
 Przed oczyma rozwidniało  
 Żegnał Hannę i Lasotę,  
 W dworku jeszcze cicho było,  
 Janek milcząc otwart wrota  
 Łzami brzmiały mu powieki,  
 Łzy po łecach mu pobiegły. —  
 Turkot wozu już łaleki  
 Gdzieś się gubił w kraj odległy,

Czemuż Janek płakać może.  
 Czemuż aerea trwożnie drżało  
 Wszak nad Hanną już czuwało  
 Opatrzność oko Bóże!  
 Czasem serce w smętnej rucie  
 Przyszłe bole nam wyspiewa,  
 Czek bezwiednie łzy wylewa!  
 Może Janek miał przeczucie  
 Może serce, gdy zadrzęta  
 Przyszłe dzieje wyspiewało.

W Stachu wiosce światło gaśnie  
 Cichło echo, jaków wrzawy,  
 Głasi na niebie blask jaskrawy  
 To najpierwsze było hasło,  
 Że nie długo cisze może  
 Przy Lasoty tułym dworze  
 Przerwie walka rozpaczliwa. —  
 Janek stanął tuż przy płocie  
 I zatopił wzrok w ciemność,  
 Do męczenia wszystkich wzywa,  
 A z Lasoty słodzy wierci  
 Przystanek z rasmiecani —  
 W tem na uredze pod lipami  
 Jusły mrowia cos się czerni. —  
 To Tatarzy. — Stęp zaszedł  
 Jakby ich wiodkiem zdumiał,

Jakby strwożył się w tym lesie  
 Krwawych noży jataganów  
 Włocza, rusznie i kozłachów!  
 Tentent końskich kopyt niesie  
 Wojry krwawej odgłos głuch  
 Płynie orda — czarne duchy  
 Biegną tłumnie po ofiary!  
 Już na strzał się przybliżyli —  
 Strzelać — szepnął kozak stary —  
 — oko nie owyja. —  
 Zagrzmiała strzelba —  
 Kule lecą coraz gęściej,  
 Czerwonawe dymy strugi  
 — — — — —  
 — — — — — dzik jak piękny,  
 — — — — — horda rozprószyła.  
 — — — — — co niej strzał był cenny  
 — — — — —  
 — — — — — strzały  
 Kule brzękły koł domu,  
 Lecz nie szkodząc nic nikomu.  
 Tylko drzewa połamały —  
 — — — — —  
 Ku Tatarom zwrócił oczy  
 I całusa posłał z rui,  
 Pewnie Tatar w krwi się brzozy  
 Ale trudna z nim rala,

Bo choć kule leżą celne,  
Bo choć serca błądź dzielne

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...

...



I z ścian białych rumowisko —  
 Już nie widać srebrnej rosy,  
 Co ziobła kwiaty, drzewa,  
 Znikły ptaszek śpiewne głosy.  
 Żaden ptak już tu nie śpiewa,  
 Opuściły smutne stroje  
 Szukać życia i wesela,  
 Bo tu pola śmierć zaściela,  
 Bo tu kraczą kruki wrocy!  
 Na zezumiałej gruzów kupie  
 Widać bronie pokruszone,  
 Widać blade twarze trupy  
 Młką śmierci pokruszone. —  
 Trupów leży bardzo wiele  
 Znać po każdym trupie ciebie  
 Całą grozę chwil przeżytych  
 Znamuś naszą ucziółę  
 W kraj spokojów niespożytych  
 Przed tron Króla pełen chwały  
 Po zapłatę lub po tarcie. —  
 Widać głowy poćmiałe  
 Błaho śmiałe w oczach szare  
 I krew, co się jeszcze broczy!  
 A zbicieli martwe  
 Niby patrzą na rękę  
 Słucha brzaski, co w obrazie  
 Palnym grozy mały zarys

Jeden z trupów dłoń skurczona  
 Opart widać na żelazie,  
 Chcąc go wyrwać z pier i głębi  
 Ale dłoń nagle lokował  
 Spat dłoń tylko i z tem skonął —  
 Teraz wiatr mu człozięgi  
 Mierzwie teraz włos ma swy,  
 Włos, co jeszcze więcej śniegi  
 Zanim skonął nieszczęśliwy  
 To był kozak, co tak strzelał,  
 Że nie chybił nigdy w życiu. —  
 Teraz w smierci już powiem  
 Spat spokojnie i przed Bogiem  
 Z swoich i żywów sprawę zdawał!  
 Przed spalonym dworem  
 Gdzie tuł jeszcze trzewa kawał  
 Z ściany dawno spoczęłej, —  
 Leżał drugi trup nam znany  
 I w kałuży krwi czerwonej  
 Swoje otwarte topił rany  
 Z których dawno krew wyległa.  
 To Lasoty postać wzniosła  
 Przy swym własnym progu legła,  
 Szabla z ręką nabytą  
 A na krwawej mu piersi  
 Dziwnie strasznie włosy —  
 Kozak młody przy Lasocie,

Ten co mówił jeszcze wczora,  
 Głęboko Tatarzyn po ciemności  
 Nosił zagładę im do dwora,  
 Że już prochów nie ma więcej, —  
 Spał kozaczek w polu dalekiej  
 Jego twarzy poznać jeszcze  
 Te przedśmiertnej trwogi dreszcze  
 I żal życia, co w zaraniu  
 Zgasnąć miało mu na wieki —  
 On też w ciężkim swym konaniu  
 Głuchym do nieba wznosił powieki,  
 Bo otwarte miał źrenice,  
 Białe czoło, białe hee.  
 A na ustach, co się zwały  
 Wszystkie żale mu przymarty —  
 Oprocz tego śmiatych twarzy  
 W tej gromadzie zimnych trupów  
 Małostwo widać — to Tatarzy.  
 Którzy braciów ani trupów  
 Dla swej braci nie zabrali!  
 Oni także cicho spali,  
 Bo śmierć wszystkich łączyć nmi.  
 Tu na krwawych zgliszczach skorupy  
 Spokoju trup przy trupie,  
 Cicha, zgoda w całym tłumie  
 Tylko w szosatkach poznać ciała,  
 Że to kiedyś walka wrzała,

Świadczą o tem blade hee  
 Wraz ze źródłem krwi obrzydłym,  
 Leżąc życiowa ich różnica  
 Śmierć zrównała swoim skrzydłem

## II

Późną nocą w chaty progu  
 Siedząc szeptał pleban stary  
 Długie modły Panu Bogu —  
 Ciche słowa, pełne wiary  
 Płyną z głębi jego ducha  
 I unoszą się w niebiosach,  
 Gdzie Bóg pewnie modłów słucha —  
 Na tej nocy siwowłosa  
 Głowa stara pochyłona  
 W ciemnościach —  
 W ciemnościach wietrzyk w  
 Jakby zdała znosił wiesci —  
 Łuszczy drzewa zaszeleści  
 Lub uderzy w dach kościoła  
 Złoty wzruszy spięte dzwony,  
 Z nich dobywa głuche tony  
 I tę ciszę, co do koła  
 Świat objęła swym ramieniem,  
 W ciemnościach

Pleban zwykle długo w nocy,  
 Odmawiając modły siedział,  
 Czasem zapalał kur z północy,  
 A on jeszcze sam nie wiedział,  
 Że za chwilę światła zacznie.  
 Po kogutów głośnej zrzęźnie  
 Zawsze mawiał — słowa będzie —  
 Aż na wschodzie gdy nieznacone  
 Pierwsze brzaski się zjawiały  
 Wstawał pleban ciałwisty  
 I zamykał się w komnaci  
 Dziś podobnie przy swej chacie  
 Długo siedział, długo ozuwał,  
 Korne w ziemię chylił skronie,  
 Razem obie składał dłonie  
 I paciorki w nich przesuwiał  
 Nagle ciszę i modlitwy  
 Przerwał tentent niby burza  
 Jakby płynął z pola bitwy! —  
 Z nocnych cieni się wynurza  
 Jakiś odława niby zorzy —  
 Pierwszy odblask jasny horzy  
 Lecz błedniejsze i ciemniejsze  
 Wiart silniejszy coraz więcej  
 Co raz bliżej grzmiały kopyta.  
 Pleban sam się siebie pyta,  
 Co się w tamtej stało stronie,

Czy Lasoty dworek płonie? —  
 I znów cisza — ta znacząca,  
 Co swem tchnieniem spokój znacza  
 Cisza dziwna i straszliwa —  
 Znów się wichur suny zrywa  
 Strzasa liście, gnie konary!  
 Niepokojny pleban stary  
 Już przeczuwa, że tu wieści  
 Pełne grozy i boleści  
 Wichur z dali mu naniesie  
 Echo odgłos kopyt niesie!  
 Nie mógł długo myśleć o tem,  
 Bo w tej chwili poza płotem  
 Zaduła już kulasa.  
 Ksiądz do furty się posunął  
 I różaniec wpiął do pasa  
 A wrzeczadze sam odsunął —  
 Czwórka wpadła na podwurze,  
 Ksiądz zdziwiony się wpatrywał  
 I czuł dobrze, przewidywał,  
 Że jakoweś pewnie burze  
 Gości nocą mu zniosły  
 — Ojciec — zabrzmiął głos niewieści  
 Pełen trwogi i bólesci  
 I rozpacznej jakiejś siły. —  
 — Hanna — jęknął ksiądz zszokowany  
 Co się stało — wielki Boże —

— Tatar zaszedł w nasze strony  
 I nasz dworek zniszczyć może, —  
 — Mój wszechmocny niebios Panie —  
 Użyj biednym swej opieki —  
 Mówił pleban i powieki  
 Wzniósł do nieba — To skarała  
 Z tym pohańcem — wychodzi żywo  
 Nie płacz, nie płacz Bóg nad nami.  
 A w tej chwili i łuczywo  
 Jasno błysło promieniami  
 Na majdanie przy kolasie,  
 Bo i służba już w tym czasie  
 Smutnych gości otoczyła. —  
 Teraz ujrzał pleban stary,  
 Że mu Hanna przywołała  
 Także Stacha. — Ten na mary  
 Mógł od razu być złożony  
 Twarz miał bladą gdyby areda  
 Z... żył zdroj czerwony  
 ... Boże bieda — bieda —  
 Brzmiały głosy do okot  
 A książę pleban do kościoła  
 Już pospieszał po sakrament  
 Przy kołacie pomieszczone  
 Ładne głosy w jeden lunent.  
 Jakby fale wod wazbrane  
 Muśtwo pytań, odpowia...

Każdy jęczy, każdy biedzi.  
 Tylko ranny Stach nie jęczy,  
 Spa rozkosznie — niby w łęczy  
 Tak się w blaskach skrył łuczywa —  
 Gdy chwilami z nich wypływa  
 Jego zimna twarz bladawa,  
 Wszystkim w kóło tak się zasawa,  
 Że on snów rozkosznych wiele  
 W rozmarzonej duszy ple...  
 Że w nim nie ma już boleści.  
 W tejże chwili przy kościele.  
 Dźwięknął srebrny odgłos dzwonka  
 I wyłonił się z przedsionka  
 Chłopiec z światłem w latarni...  
 I książę z Ciałem Pańskim w ręce  
 Wszystko klęka przy karncy,  
 Wszystko znikło, trzask łuczywa,  
 Głuchą ciszę tam przerywa —  
 Dziwny obraz na tle no...  
 Stach nie mówił i nie skarżył  
 Swoich czynów przed kapłanem,  
 On w młoczeniu tchnienia warzył  
 I w młoczeniu z niebios Panem  
 Jedną duszę myśl i serce.  
 Po ostatnim nainaszczeniu  
 Wziął Stacha na kolonce  
 I w czeadki otoczeniu

Do plebańskiej wnieśli chaty'  
 Kiedy weszli do komnaty  
 Hanna księdza powiadała'  
 O wypadkach strasznej nocy,  
 A ksiądz radził, by Wszechmocny  
 Dom rodzinny poleciłur

Kłękaj Hanno moja mila

Nach Cię rozpacz nie uciś —

Mówił Starzec, — ten kto w wierze  
 Ulgi szuka, łzę uprosi  
 Zawsze Bóże zmiłowanie,  
 Ufaj Bogu mów pocierze.  
 Hanna klęka, ciche łkanie  
 Kwiało słowa jej modlitwy —  
 Wyszedł piewca z oddali  
 Zalecia wrzawa bita,  
 I czerwony łuk się szerzy  
 Pewnie jego uwor się pali —  
 Myslał kapitan — ale wierzył  
 Że Lasota silnej dłoni  
 Lichej hordzie się obroni,  
 Więc przykazał, by z dzwonicy  
 Bliskiej sioła okolicy  
 Dzwouem trwogę ogłoszono.  
 Na głos dzwonu życie wrzało  
 I przed domem na majęcie  
 Ludzi spore się zebrało.

Przy zędziwym swym plebanie  
 A z pospiechem się zbrojują  
 Co pod ręką tylko było  
 To się w oręż zamieniło  
 Otworzyły się komory  
 Niby jakie arsenaty.  
 Dziwne rotty w siole stały  
 Zbroje w kosy i topory  
 A niewiasty, co żelazem  
 Swojej włoski nie obronia  
 Z modłtwanami przed obrazem  
 Matki Boskiej — łzy swe ronią  
 I zawodzą w swej śafosci,  
 Patrząc na swe niemowlęta:  
 Pociesz Matko! Twoj nie  
 Zebrzem w smutku — Panuo święta  
 A Panienka z za ostarzy  
 Patrzy na nie niby żywa —  
 Taka smutna i teskawa,  
 Taka miłość widna w twarzy.  
 Za już wątpię nikt nie może  
 W miłosierdzie wielkie Boże'  
 Wreszcie świtać zaczął dzieńek,  
 Zczerwieniałe dachy drzewa,  
 L. / na [ ] nie spiewa  
 Skowronek, ni skowronek'  
 Dzień zabiłysnąt — słońce krwawe



Z za dalekich jarów kroczy,  
 Patrzy w ludzi — ale zżawie  
 I strwożone wszystkich oczy'

## IV

Noc ponura, coś majaczy  
 Na równinie w czystym polu —  
 Wczora tutaj nic nie było —  
 A dziś dziwo, coś się marzy,  
 O czym lubziom się nie śniło  
 Nowe sioto na Podolu!  
 Tak wyrasło jak z pod wody  
 Widać uoiny i zagroły  
 I wysokie jakieś ploty —  
 To nie domy to nie sioto  
 To wojenne są namioty  
 To wojsk naszymi zbrojne czoło!  
 Widać ot iż wojsk koronnych,  
 Co na kresy ciągną sznurami,  
 Co dla sauyb tych bezronnych  
 Niezłamanym staną murem!  
 Cichy obóz ognisk parę  
 Ledwie trochę tylko świecą,  
 Płomień tłumią ciężkie szare  
 Mgły z błękitów, które lecą. —

Słychać tylko czat stąpanie  
 I miarowy dzwiek pałaszy,  
 Słychać końskie chrupotanie  
 Przy opallach pełnych paszy'  
 Jeden tylko oświetlony  
 W gać namiot w nagle ostanie  
 Tu wódz siedzi niestrużony  
 Przed nim jasno światło płonie,  
 A on ręką o stół wsparty  
 Okolicę pilnie bada  
 Wycobywa różne karty  
 I z nich krajów kawał składa,  
 Okiem wodzi i planuje  
 Swęj oszczędzi przyszłe rucey —  
 Lecz w tej chwili ogłós głuchy  
 Gdzieś z oddali załutuje,  
 Coś jak gęby wał, wrzawa,  
 Jakby z wrogiem była sprawa.  
 I dzwiek łwonów po równinie  
 Żalostliwie jeczy w dali  
 I po rosie w niebo plynę  
 A na niebie łuk się pan'  
 Czaty stają — wódz uchylił  
 Białą ścianę przy nam ocie  
 I spogląda, jak co chwila  
 Snopy iskier po ciemności  
 W górę płyną na mgły lecą,

Grozą ziemi biednej świece,  
Rozwidniają kawał nieba,  
Nad niebośnią płaczącego.  
— Hej tam widuć nas potrzeba —  
Trza otrąbić wsiadanego!

I niedługo w chwilę matą  
Echo trąbki smutno grało  
I płynęło po równinie  
Tak jak odgłos spiewki płynie!

Już nad ranem mgły przerzadły  
I na ziemię rosą spadły —  
Wódz — pułkownik przodem jedzie  
Za nim długi sznur rycerz  
Których wódz ten w bój powołuje.  
Słychać tylko, jak puklorze  
Brzęczą czasem, lub jak konie,  
Nadając kłusem po przed błonie  
Swoim jezucem wciąż prychają —  
— Zarów mój koniu — częste głosy  
Po szeregach przebiegają —  
Tuman kurzu z nimi leci, —  
Gdy poruszy wiatr kurzawą  
To i zbroja się zaświeci. —  
Już i słońce wyglądało

Choć źrenicą dziwne krwawą,  
Lecz nadzieję w świat wionęło!

U plebana przy kosiele  
Stało wiejskich ludzi wiele. —  
Gdy gromada głośno gwarzy  
Tuman wznosi się po nad drogą  
Wszystkich serca biją trwogą,  
Wszyscy są iż, że Tatarzy  
Pędzą do nich rzeź wyprawie  
I w krwi ludzkiej srebro splawie  
Spoglądali więc boleśnie  
Ale prawie równocześnie  
Zbroja w słońcu zabłysnęła!  
Szmer się ozwał pośród nich.  
W każdym oku iż stała  
Każdy czuł iż doznał celu!  
I z wdzięczności serca tąją  
Słychać szmery co raz bliżej  
Tuman płynie co raz wyżej  
I rycerze się zblizają —  
A niedługo już w komnacie  
Wólc o drogę wypytywał —  
Nie zatrzymał się w tej chwili  
Z trudów drogi nie sporczywał —  
Wypuł z domu dosiadł konia  
Błysnął szablą i przez błonie

Gdyby wieher pognał przodem  
 Przed rycerskim swym narodem  
 I utonął znów w kurzawie  
 Tylko zbroń głucho chrząstę  
 Tylko kurzu tuman gęsty  
 Śwadczy o tem, że na jawie  
 Te chorągiew tu widziano  
 ———— Hanny  
 Barwa miała znów różana  
 Głęboki świeży blask poranny —  
 Hanna nawet nie myślała,  
 Że ta barwa nie różana  
 Tak jej prędko zgasnąć miała.  
 Że ją ręka niebios Pana  
 Straszny dotknąć dzisiaj ciosem —  
 W duszy jej nadsięja rożnie  
 I szumucha sn —  
 A de katedra takim głosem  
 Tłkwym, czułym się ozwała,  
 Że ksi z nawot o oporze  
 ———— mógł. Tam wo dworze —  
 ———— powtarzała —  
 Już po bitwie pewno kępkę,  
 Ja tak pragnę karać w drodze  
 Ku rodzinnej ławie grzebieć.  
 Ja potrzebna tam być mogę,  
 Ojciec ktoś mój naucmiał

Ojciec drogi jedł tam zemną!  
 Pleban bardzo był wzruszony,  
 Bo w jej głosie miłość cała,  
 Miłość córki, miłość żony  
 Do litości przemawiała —  
 Więc się prosił nie dał długo —  
 Zaraz z jednym starym sługą  
 W kałamazkę zaprzął konie  
 Co najlepsze miał we dworze,  
 Wsiadli z Hanną i przez błonie  
 Pojechali w łunę Bożą!  
 Droga niezbyt była długa  
 A potrzaskiem bicia częstym  
 Czas podróży skracał sługa —  
 Za tumanem kurzu gęstym  
 W krótkie drzewa zaczerniały, —  
 Z drzew powinien się wyłonić  
 Już i dworek Hanny biały —  
 Cóż go mogło tak osłonić?  
 Przecież widny był stąd wozora!  
 Więc po drodze, co koń skoczy  
 Popędził wprost do dwora —  
 Nagle Hanna w dloniach czoły,  
 Płacząc skryła, bo poznała,  
 Że tam gdzie jej chata stała  
 Hulał wieher po popiele —  
 Zniknął dworek ulubiony.

Nad zgłaszczami: kraki, wrony  
 Czując pewnie trupa wiele,  
 W różne głosy zakrakały —  
 Powoń glone czarne słupy  
 Z tej dymiącej gruzów kupy  
 Jak szaleńcy wysterczały —  
 Przez zwalone dawne wrota  
 Wbiegła Hanna — arguła, zoladła  
 — Ojciec jej — i upadła —  
 Przed nią leżał pan Lasota  
 W krwi skapany jak w potoku  
 Z zimnem licem, z bielmem w oku,  
 Co się w śmierci nie zawarło —  
 Z przerażeniem, co przymarło  
 Do nie jego —  
 Płacz —  
 W jego —  
 Płacz —  
 Strościł wszystkie w nim cierpienia —  
 Stał więc platan nad trupami  
 Jak trup biały i do ośmi  
 Był podobny wtedy wieści,  
 Niż do człowieka żyjącego —  
 Złożył na krzyż obie ręce  
 A też strumień z oczu jego  
 Po przybłądłych heach płynął

Boże szeptał — jak asę drzący  
 Boże! Boże! wszeczinogacy  
 I Lasota drub mój zginął  
 Czwile druga jak wiek cały  
 Stał kałuż pieban skamieniały —  
 Jego duszy zas cierpienia  
 Myś, mu wszystką rozstrze dy  
 Stał wśród trupów starzec biedny,  
 Stał bezradny i bezwiecny  
 Myśli zebrać nie miał siły —  
 Hanna cichym snem ujęta  
 Jak trup biała — gdy ry gromem  
 Uderzona, nagle ścięta  
 Przeł zburzonym swym domem  
 I przed ojca trupem krwawym  
 Tak leżała jak umarta. —  
 Piers jej w tchnieniu się zawarła.  
 Płomien tocząc okiem izawym  
 W powiekanej myśi kole  
 Spjrzał w Hannę bla le lice  
 Ale własnej duszy boje,  
 W pół zmartwiałe już źrenice  
 Po zaskrzepłej krwi skorupie  
 Przesuwały bez panuę  
 Widział ze spi trup przy trupie,  
 Że tu wszyscy snem ujęci,  
 Każdy leży odrętwiały,

Jak zimnego głazu kawał  
 Ale trupów ostrogiaty  
 Pleban więcej nie poznawał —  
 Patrząc w Hannę przez czas długi,  
 Nie rozpoznał jej z wejrzenia —  
 Trup — wyszepnął — trup, jak drugi,  
 Wszystko trupy. — Grom cierpienia  
 Tak straszliwie wstrząsnął plebanem,  
 Że straciwszy myśl w obłędzie,  
 Już nad sobą nie był panem.  
 — Krew powtarzał, — krew tu wszędzie  
 I przysłonił łzawo oczy,  
 Jakby go ten olraz palił —  
 Mgła dziwaczna wzrok mu mroczy  
 I kaździ pleban się powalił  
 Między trupy pokrwawione!  
 Na te dzieje poglądało  
 Słońce z nieba zażawione —  
 Stado kruki w przecinało  
 Nad ciałami ofiar wojny,  
 Które w wspólnym spały grobie.

Widok tyle był spokojny,  
 Ile grozy mieścił w sobie,

## V

Pan pułkownik swej drużynie

Nie dał nigdzie odpoczynku!  
 Po najazdowy tatarzynie  
 Widział ślady, więc w ordynku.  
 Jak do bitwy już spraw onym  
 Pędził nie sił starezyto  
 Krajem, luźną krewą zbroczonym  
 I dążynie spieszno było  
 Dupać dziką orde w polu.  
 Szablą krwawą biysnął w orzy,  
 Kiedy Tatar w krwi się broczy.  
 Pomścił morły na Podolu.  
 Gdy chorągiew w pełnym pędzie  
 Po Lasoty dawnej grzeźbie  
 Mknęła, gąbły błyskawica,  
 Każdy rycerz ku tej stronie  
 Zasklepione zwracał leca, —  
 W oku żal każdemu ptonie  
 Ale nie znał przerażenia.  
 Niższy niż znać w żalnym oku —  
 Smętność w rozpacz się nie zmienia!  
 Do tak ego już widoku  
 Każdy rycerz przywykł z dawna,  
 Już nie jedna bitwa sławna  
 Przed ich okiem się rozgrała,  
 Już w niejśniej uleżał więźni,  
 On nie raz już widział  
 Wychodzące dusze z ciała

Nie dziwnego synom wojny  
 Widok krwawych strug czerwonych.  
 Widok trupów pobroczonych. —  
 Z nich był każdy tak spokojny  
 Jak dziewczęta, gdy marząca  
 Wzrok zatapia w twarz młodego  
 Konie czasem im parowały,  
 Rwał przed sobą przestrzeń ziemi,  
 I porożce łomotały,  
 Przygryzając wstęgi swemi.  
 A pod murem konskich skoków  
 Pochylały się przytłoczone  
 I brzęczały u ich boków,  
 Jak użen łunice ich szablami —  
 Rzekłobyś — widząc tych rycerzy,  
 Że to chmura kuta z stali  
 Z wichrem swoją siłę mierzy,  
 Że się na niej słońce pali  
 I złociste swe promienie  
 Na puklerzach błyszczących kruszy!

Boże! Boże! Okiem duszy  
 Widzę jeszcze po nich cienie!  
 I żal jakiś serce chwytą  
 Po rycerstwie naszym dawnem,  
 Po rycerstwie dzielnem, sławnem,  
 Którem się Rzeczpospolita

Od najazdów mogła bronić.  
 Gdy wróg rzucił swe zagony  
 W ziemie Litwy lub Korony,  
 Miał kto pierzga ją zastoić.  
 Iż s w mogile snem ujęta  
 Drzemie Polska pogrzebana,  
 Synów więżą straszne pęta  
 Narzucione przez tyrana!  
 Już nie dzwieczą na nich zbroje  
 Co broniły swej zagrody  
 Lecz ich grzebna trnły, znoje  
 I syrskie grzebna lody —  
 Nam i łez nie wolno ronić.  
 Trza osuszyć nam zronice —  
 Szaleć nie ma czego bronić  
 Bo zatarty się gronice  
 Przy mogile naszej marki!  
 Dnia bez granic w naszej doli  
 Możem dążyć do Kameczaki.  
 Na najbliższe dnie niewo!  
 Boże! Boże! gdzież przeszłość  
 Utonęła nasza zorość!  
 Gdzie się ukrył blask świetności,  
 Czy za góry? czy za morza?  
 Serca pełne enych płomieni,  
 Piersi czyste, dlonie twarde!

Gdzież to sukło? Czy w przestrzeni,  
 W której drzemą tylko zmarli,  
 Z której powstał zmowieściu  
 Niewolniczy ten ród szarli  
 Sercem naki, duchem mały  
 Osłabiony i niemeżny?  
 Gdzie się podział czas orężny?  
 Czy już nigdy nam nie wróci,  
 Nigdy dachu nie ocuci?  
 O dziś nie ma białych ptaków,  
 Ni proporców, ni puk erzy  
 Ni oręży, ni szyszaków,  
 Nie ma naszych już rycerzy,  
 Których niezem nikt nie spłoszył  
 Choćby świata pół spustoszył —  
 Nie razia ich walk wrzawa,  
 Ni muzyka dźwięk ognisty.  
 Nie straszyła ich krwawa  
 Ani siejba kłó siarzysty!

Gdzież zaszedłem — ach wyłazzoie,  
 Zbiegłem z drogi za datko —  
 Aż lzy żal w oczach pieką —  
 Wy na moje lzy nie patrzcie.  
 Ale wróćcie ze mną razem  
 Z wojny spotkać się z obrazem —  
 A gdy żalść serce mroczy

I odnawia lawne bole,  
 Ręka moja w krwi się broczy.  
 Jak broczyło się Podole  
 W owe czasy, kiedy wojna  
 Wrzała w Polskę na ustnia  
 Kiedy Polska była zbrojna,  
 Kiedy żyła moja Hauka

Za Stachowej wsi zgłiszczami  
 Pan pułkownik już się znierzył  
 Z podłokuni Tatarami. —  
 Jak grzmot z nieba w nich uderzył  
 Gdy się w dali ukazyły  
 Naszej jazdy groźne znaki,  
 Pochylały się kolpaki  
 I piszczałki zapiszczały —  
 Tatarowie szyk składali  
 Jak myśl szyłko. W jednej chwili  
 W dwa półkola się związały  
 I broń różną najeżyły  
 Był to czambuł dobrej broni,  
 Każdy Tatar miał rusznice  
 I jatagan w każdej dłoni  
 Snał na okół błyskawice. —  
 Były także mne znaki  
 W noże, w łuki pobrojone



A ci miedzi salajtas  
 Przez ramiona przewieszony  
 Przed największym ich czambułem.  
 Wódz tatarski się ugiął  
 Zwany u nich asawudem  
 Często głowę na dół skłaniał.  
 Jakoy jakieś bit pokłony  
 Rękę wznosił i zielony  
 Piernacz ordnie okazywał —  
 Snać do męstwa ich przyzywał  
 A pułkownik, co koni szkolczy,  
 Mknął przed dziesiątą swą bojową  
 W czambuł utkwiał groźne oczy,  
 Jak lew nardę potrząsł głową,  
 Połmiał w górę szablę —  
 Kda skreślił magotowie  
 I drużynę w sad p...  
 Tak rozwnął na tej i...  
 Że się jednym zwał murem  
 Rycerz stanął przy rycerzu,  
 Pancierz błysnął przy pancierzu,  
 Okrzyk walki, zatrzęsiał chorem.  
 Eno u osło go po jarach  
 Po dolinach i po wałach  
 Z drągiej strony przy Tatarach  
 Zabrzmiat okrzyk: 'Altach' 'Altach'!  
 Teraz inne znowu głosy

Uleciały pod niebiosa  
 Dym pólka pokrywał —  
 Strk muszkietów przy czambułach  
 Raz po raz się odzywał  
 A w powietrzu gęste kule  
 Przeróżnie zawarczały. —  
 Czasem dzwieknął pancierz biały,  
 Albo szyszak się usnuął  
 Czasem rycerz z konia runął  
 Wypuściwszy szablę z dłoni. —  
 Ale inni szereg zwarli  
 I spłoszone swoje konie  
 W lot wałbrowy przodem parli —  
 Jak huragan tak lenieli  
 Na Tatarów luk kłósty —  
 Słychać grzmioty z strzelb gwałtownych  
 I warzących szablę świsty!  
 I chrząst złoty pomieszany  
 Z...ów krótkim dzw...  
 Z...ych gwałtownym p...  
 k... kwikiem przerywany!  
 Czasem z tłumu się podnosi  
 Szabla cała krwią ociekła  
 Mignie jako wamro z piekła  
 I słońce znowu w tłum zanosi!  
 I jatagan czasem błysnie  
 Ponad głowy wyniesiony

I p... ..  
 N... ..  
 C... ..  
 P... ..  
 ... ..  
 C... ..  
 C... ..  
 ... ..  
 Z... ..  
 J... ..  
 I... ..  
 P... ..  
 I... ..  
 N... ..  
 Z... ..  
 A... ..  
 A... ..  
 ... ..  
 ... ..  
 Takim pędem, że aż znika  
 I krztałt w oczach przostacza.  
 ... ..  
 A... ..  
 J... ..  
 ... ..  
 ... ..  
 ... ..  
 C... ..

C... ..  
 ... ..  
 N... ..  
 N... ..  
 I... ..  
 A... ..  
 ... ..  
 W... ..  
 P... ..  
 B... ..  
 ... ..  
 ... ..  
 ... ..  
 W... ..  
 Z... ..  
 I... ..  
 ... ..  
 H... ..  
 I... ..  
 D... ..  
 W... ..  
 I... ..  
 ... ..  
 ... ..  
 ... ..  
 P... ..  
 P... ..

O tatarski tabor pyta.  
 Bo gdy wroga zniósł do szczętu  
 Tabor pewnie musiał zostać  
 Jenców wódz ten chciał orlebrać,  
 Tabor w reos pragnął listać.  
 Nie mógł jednak wiesci zebrać.  
 Rzekłbys kamień wpadł do wiru  
 I utonął w wartkiej fali -  
 Tak wieść głuchła gdzieś w oddal  
 A tymczasem do jasyru  
 Pewnie orda kąską wsiąkla  
 Na arkanach jenców wleka. —

## VI.

Było blisko już południe —  
 Jasne słońce przyswiecało  
 Nily sinęte — ale ciche!  
 Tu w tej stronie wszystko spato  
 Tyle ofiar śmierci zgarnęta  
 Że tu cula okolica  
 Jakies dziwne martwa leca  
 Ku rycerzom wysunęta, —  
 Bo drużyna powracata  
 Do Lasoty zgaszcz dymiących,  
 Popod szereg i p. azumiących  
 W olnym krokiem przesunęta. —

Zgłusza martwym swym widokiem  
 Przypomniaty uroczysko. —  
 Gdy pułkownik był już blisko  
 M mowoli rzucił okiem  
 Ku tej stronie. Tam widziała  
 Twarz mu nieco pierwej znana  
 Młodej Hanny i plebana.  
 Poznał po nich, że tam była  
 Jeszcze jakaś iskra życia.  
 Którą w przyszłej z...  
 Poznał po nich, że...  
 A bolesne miał, s  
 Bo ich twarze choć kamienne  
 Od skosnionych się różniły —  
 Wyglądały, głyoy były  
 Wpół umarłe a wpół seune'

Długa chwila upłynęła  
 Nam pmdlanych oemom,  
 Biedna Hanna pierwsza pono  
 Bledna oczy odemkueta  
 I powiodła nemi w koło  
 Nieprzytomnie i bezwładnie!  
 Jak wtórował w piersi na dnie  
 Jej spojrzemom. Bledne czoło  
 Rozpacz straszna przysięła  
 Nioy krwawy z cierni wianek'

I — — — — — ho powtórzyła  
 Kilkakrotnie: Oj — — — — —  
 I przez usta zacisnęte:  
 Piersią tkanie głuche rwało  
 Jakby serce bolam zdjęte  
 W biednej Hannie już konało.  
 Pan pułkownik i rycerze  
 Łzy kryjono ocierał,  
 Bo choć pierś ich pancerze  
 Zamykały kute z stali, —  
 Przecie pod tę zbroję twarzą  
 Którą strugi krwi oblały,  
 Pod podstawą sztywną, hardą  
 Czułe serca uderzały. —  
 Wreszcie pleban oprzytomiał,  
 Włókł się między rycerzami  
 I o domu swym zapomniał,  
 Głorząc płakał nad trupami.  
 Bo znajomych swych poznawał  
 Między memi trup bez twarzy,  
 Którą sereli mu tatarzy  
 Plebanowi się wydawał  
 Trupem Janka. Hanna była  
 Na wpół prawie obłąkana,  
 Choć zrenca jej patrzyła  
 To rycerzy i plebana  
 Nie poznała, nie widziała, —

Bezprzytomnie sama sobie,  
 Łkając ciągle powtarzała  
 Ojciec — Janek — obaj w grobie!

Grób tymczasem był otwarty  
 Tam złożono wszystkie ciała —  
 I drużyna nad nim stała  
 I ksiądz pleban stał oparty  
 Na ramieniu pułkownika.  
 To był pogrzeb chrześcijański.  
 Wszystkie serca żal przenika —  
 A dzwon z łah Anioł Pański  
 Jęczał echem ku mogile,  
 Która razem trupów tyle  
 W swoim łonie ukrywała. —  
 Ksiądz się modlił w kocio cała  
 I drużyna z nim bojowa  
 Powtarzała smutne słowa,  
 Które rwało Hannę kanie:  
 Racz dąć wieczny odpoczynek  
 Duszom zmarłym niebios Panie! —  
 W drugim dole był spoczynek  
 Dla Tatarów przeznaczony,  
 Leżał przy trupie trup zboczony.  
 Tam ich wszystkich pochowano  
 Bez modlitwy łez i bólu  
 Dwa kurlany usypano, —

Dwa kurhany na Podolu  
Jak z pod ziemi wyrastały,  
Równe sobie — niby bratno —  
Ze nie pierwsza, nie ostatnie —  
O tem lpy mi szumiały

## VII

Bóg, zsyłając dopaszczenia  
Wzmacnia ducha równocześnie,  
By nie upadł wśród cierpienia  
Pod ciosami, co boleśnie  
Czasem w ludzkie serca biją!  
Wśród życiowych burz zawiej.  
Prawdy wiary przecie żyje  
Z niej się słońce dla nas razi  
I spoczynku cień natchnie  
Ztąd też zawsze to pochodzi.  
Ze najgłębsze serca rany  
Zabliżają się pamięci —  
Z niebieskiego pielestadu  
Koi smutek Pan nad Pały  
Tym porządkiem postępuje  
Wszystkich ludzkich uczuć rama —  
Cicha boleść zastępuje  
Pierwszą rozpacz, którą rwana  
Dusza ludzka — traci siły —

Po boleści smutek łzawy  
Wzięte wszystkie serca sprawy,  
I najczęściej to mogły  
Człowiekowi towarzyszy —  
Rozpacz Hanny któż opisze?  
Wzrostem i siłą jej może  
Wypaść z życia straszne Bogo  
W jej życiu i jej zabrało  
Ojca, męża z tego świata!  
Serce w pierśiach być przestało  
Tak okropną była strata  
Tych dwóch istot nieśpodziana.  
W pierwszej chwili Hanna była  
Jakby na wół oblakana  
Dwą rozpaczą tylko żyła, —  
Której nikt nie skraśił miary.  
Ale Hanna w tej rozterce  
Nie traciła w Boga wiary  
I szubując w ból serce  
Na modłowie pokrzepiała,  
A w lat kilka rozpacz Hanny  
Zwolna w smutek się zmięszała  
W smutek cichy, niestanący  
I już siódma piękna wiosna  
Uśmiechała się radosna,  
W pełnym blasku na tym świecie.  
Lpy stare swym zwyczajem

Wiosły gwary nad ruczajem  
 Bieląc w słońcu swoje kwiecie  
 Łaski i swe urodne  
 W barwnie kwiaty przystroity,  
 Chory ptaszat różnorodnie  
 Cudne piosenki swe dzwoniły  
 I weselo szczebiotały  
 Niby Pan i ku podziwco,  
 Że słoneczne jego ręce  
 Swe promienie znów rozsiały —  
 Ziemię kryły już dywany  
 Zielonosci różnych cieni,  
 Białe siebie dwa kurhany  
 Także skryły się w zieleni,  
 Tyłke wyżej szła wzniosły  
 A na jednym piękne kwiaty  
 Nie jaskry, nie białaty, —  
 Ale róże wonne rosły  
 Przy kurhanie tym siedziała  
 Smutna Hanna. Wszystkie bote  
 Widne były na jej czole,  
 Choć i teraz nie płakała  
 Mały Janek jasnowłosy  
 Przy niej gwarzył o Tatarach  
 A spoglądał na nie nosy,  
 Jakby chciał się w swych zammarach  
 Pytać stołca, czy mu sprzyja? —

— Mamo mówił — moja droga —  
 Czas polubno prędko mija,  
 Gdy urosną z woli Boga  
 Woznę szablę, na koń sięgę  
 I pojedę w Tatarszczyznę —  
 Tam im zniszczę ich ojezyczo  
 I poganów ścinać będę —  
 Jako trawę ich wykoszę  
 Ja się pomścę za śmierć tatki  
 Ale — mówił — nie pacz proszę  
 Poganiawszy w oczy matki,  
 Która łzami napływały  
 Nie pacz matko — gdy podrosnę  
 To na przyszłą może wiosnę  
 Siadę na koń, koń mój biały  
 Jak ptak chyży, lotny, dziar-  
 Pogna ze mną w step tatarski —  
 Mamo słyszeć będziesz wszędozco,  
 Żem mą szablę zdołał wstawić,  
 Tatko z ucha pewnie ucho  
 Mojej cieni błogostawić —  
 A i dziadek będzie w niebie  
 Bogostawić matkę i cienie  
 Hanna, patrzeć na pachole  
 Już o wojnie dziś marzące  
 Mała w oczach trzy gorące  
 A dziecina serca bole

Szczeliotaniem przerywała!

Wiele Hanna ucierniała  
 Na tom, że i ksiądz sądziwy,  
 Który był jej opiekunem  
 Pod grobowym legł ciałem  
 Odkąd dzień ten niesześciły  
 Nowym cięsem wtrząsnął Hannę,  
 Ona troskę ciężką miała,  
 Troskę matki nieustanną,  
 Bo o dziecko swoje drżała.  
 Jakieś w sercu złe przeoczenie  
 Z kuzdym dla niej dnem wzrastały  
 I goryczą napelniały  
 Myśl jej wszystką i uczucie,  
 Zdato jej się, że śmierć dla niej  
 Martwa, zimna, sięga po nią  
 I że lała chwila może  
 Że ta ta życia ją pozbawi —  
 A małeńkie to naboże  
 Na siorocstwo pozostawi —  
 W i też nieraz, gdy dzieciła  
 O swych wojnach szczeliotala  
 I rąka tatarzyna —  
 Hanna smutna rozmyślała  
 Czy jej żać acy opieki,  
 Dla małego pacholęcia,

Nim śmierć zamknie jej powieki  
 Nim ją weźmie w swe objęcia. —  
 Nieraz w takich myśli kole  
 Stach się zjawiał przed oczyma,  
 Bo jak wielkie to Podole  
 Tak szerszego dla niej nlema  
 Przyjaciela na tej ziemi.  
 Odkąd Bóg mu cudy swymi  
 Z rą wyaczył się pozwolił,  
 Wszystkie smutki Stach zspolił  
 Z cierpieniem Hanny biednej  
 I ramieniem swem niejednej  
 Piorunowej błyskawicy  
 Przecinał drogę, z jej żreć  
 Otarł gorzką łzę niejedną,  
 Biedny Staszek Hannę biedną  
 Kochał całą serca siłą —  
 Hanna była mu tak miła  
 Że w dla niej w ogień skoczył  
 Byłby dla niej we krwi powie  
 Jeszcze ucierniał się ucierniał. —  
 I nawzajem czule rzewnie  
 Stach przez Hannę był kochany,  
 On ją kochał, kot al szersze  
 W elką miłość miał w ofierze  
 Ona — usmiech mu siostrzanym  
 Podawala w łez oprawie —



Dla niej znikła barwa świata,  
Ona we śnie i na jawie  
Tak kochała go jak brata —  
A on Hannę kochał więcej,  
Niżli ona rozumiała,  
Kochał może ją goręcej  
Niżli ona sama chciała

Właśnie kiedy Janek mały  
Żył u matki powiek zoczył  
Pan Stanisław sposepniały  
Do kurhana ku nim kroczył —  
I zdaleka się pokłonił —  
Przybył, w Hanny lica spojrział,  
W oczach żyły świecące dojrzał,  
Westchnął ciężko — głowę skłonił

Mosca pan, mówił smutnie  
Znów żył drgają pod twem oknem,  
Wy nie wiecie jak okrutnie  
Mnie raniacie tym wieckiem.  
Ja tym wołał już nie żędać  
Więcej życia w tej otchłani  
Niż te wasze żyły ogacać. —  
Dajcie pokój moscia panu  
Smutek łzam, się nie zmienia,  
I ból łza n. nie ochłodzi  
Wszakże Boga na las wolała

Zostańcieżka dopuszczenia. —  
A co nie płacicie pańi moja,  
Nie bolaćcie wieczną troską  
Ale zgody z wolą Boską  
Rzeczcie: Stań się Wola Twoja!  
Bóg wam Hannę dopomóż  
Przenieść ciężką waszą dolę.  
Wszakże macie i pachole  
Oto i on was zmarneć może.

Oż w aśnie Stanisławie  
Rzeka Hanna z wol. Boskiej  
O dziecinie moje troski.  
Ja sierotę go zostawię,  
Tak mi serce wróży moje  
I stad wszystkie niepokoj  
Stanisławie — na tym świecie  
Przez was nie mam już nikogo,  
O tem pewnie dobrze wiecie,  
Więc opiekę nad niebogą,  
Nad dzieciną weźmie mój  
Gdy Bóg może mnie poweła  
Zastęp stożka ma amola  
I sierotę wiedź przez życie,  
Ja modlitwą wesprę mój  
Stach zamyszał się głęboko  
Łza i jego zaszkło oko  
Może wy mnie pogardzicie

Rzekł po chwilaach wzruszmy —  
 Gdy położyłam te ostony,  
 Które serce me okryty  
 Przez powinne wam respekta!  
 Dłużej kryć się nie mam siły  
 Dla was wielkie mam afekta,  
 Jahym dla was Hanno droga  
 Krwi ze serca me żałował,  
 Jam to serce wam zachował  
 Choć mnie boleść gnioła sroga.  
 Jam tej chwili błogosławił.  
 Gdy wasz szsak piersi moje  
 Celną kulą swą okrwawił,  
 Bo myślałem, że podwoje  
 Niebos przeszedł — i że w niebie  
 Bóg pozwoli widzieć ciebie  
 Za nagrodę cierpień życia,  
 I że tam u tronu Boga  
 Wśród srebrnych chmur okrycia  
 I ty będziesz Hanno droga,  
 Że przed okiem mojej duszy  
 Choć czasami się zjawisz,  
 A — — — wiatr rozpłoszy  
 I — — — promień mi zostawisz, —  
 Jednak zwiędła mnie koczacha  
 Celną kulą. — Mnie na nowo  
 Życie brzemie swe ratuza!

— Hanno droga rzeknij słowo,  
 Daj mi rękę, lecz wiedz o tem —  
 Chęćbyś duszę mą zranila  
 Swęj odmowy ostrym grtem —  
 Ty mi zawsze będziesz miła.  
 Bo afekta ukrywano  
 Zrosły z mego serca białem,  
 Bo Cię kochać nie przestanę  
 Nawet z tem doczasem życiem, —  
 Hanna blada długo stała  
 Nie mówiła ani słowa —  
 Śnać coś w duszy rozważała  
 Wreszcie rzekła. Jam jest wdowa,  
 Lecz naleniam tam wysoko  
 Czuwa jeszcze ojca oko,  
 Czuwa oko mego Janka. —  
 Pozwól więc panu mi to zwierzę,  
 Gdy wieczorem lub z poranka  
 Boga mówić me pocierza —  
 Sądzę, że ich drogę ciśnie  
 W tych terminach mi pomoga,  
 A ja póję taką drogą,  
 Jaka wskazuje mi natęczenie  
 — — — Więc nauzię me przepady —  
 — — — Rzekł Stanisław — chybaż ożoło.  
 Można jeszcze być wesole! —  
 I dwie wielkie łzy mu spadł!

Co błyszczały już w śrenicach  
I stożyły się po łecach.

## VII

Stare lipy znów szumią  
Ta, omniczo jak przed laty,  
Znowu widniał dworek biały  
I widniały białe chaty —  
I na dworku znów huciało  
Słychać było klekotanie  
Rzekłbyś wszystko powróciło  
W dawne miejsca, w dawne progi,  
Nie się prawie nie zmieniło,  
Tylko w polu koło drogi  
Lwa kurhany czola wzniosły  
Tylko kwiaty po nich rosły  
Ale i ludzie się zmieniłi  
Pod nowymi już strzechami  
Jacyś obcy teraz żyli,  
Widać z twarzy — nie ci sami,  
Co mieszkali tu przed laty  
Tylko Hanna z małym Jankiem  
Wychodziła wczesnym rankiem  
Do kurhana ze swej chaty,  
Za nią Stał się ukazywał  
Janek mu o bojach gwarzył

O Tatarach ciągle marzył  
I tatus em go nazywał  
Tak płynęły dnie skokojnie  
I na nowego tego dworu —  
Rzekłbyś sądząc, go z pozoru,  
Że tu nigdy wieść o wojnie  
Piękną ciszę nie mieszała  
Że ta młoda okolica  
Krwia się nigdy nie zbryzgala  
Tak pogodne miała łeca.  
  
Raz do ciszy tego rajy  
Z dalek ego zaszedł kraju  
Jakis biedak, — postać rzewna,  
Wynędzniała, opuszczona,  
Widać głodem zamorzona —  
Zamast nogi kawał drewna  
Włos miał długi i rozwiały  
Szronem nieco przesypany  
Przez pocnyła zaś ramiona  
Spora torba przewieszona  
Na zgarbiony grzbiet spadała  
Biednym trzęsły dziwne dreszcze  
Twarz poćółka ciągle drgała  
A on naprzód kroczy jeszcze —  
Często błędem okiem toczył  
Lipy gwaruc mu szumiły,

Zamajaczył dworek biały  
 Po przed jego smętne oczy,  
 Z których trysły mu promienie,  
 Zaraz — — — — —  
 Jak przełsmierne wysilenie —  
 I lez potok z ocz wytrysnął. —  
 Ku dworowi skręcił z drog  
 I ostatkiem sił pospieszał  
 Stuk drewnianej jego nog  
 Z westchnieniami się pomięszał —  
 Już kwieciste mijał pole,  
 Mijał ploty już zielone,  
 Gdy naprzeciw mu pachole  
 Pospieszało uciezione.  
 — Dzieńku — rzecze jasnowłose  
 Płacze o topę — chodź do chaty,  
 Spoczniemy u nas, u mej matki  
 Ja i cała ci wyniosę  
 I nakarmię i napoję  
 Dziecko małe! — dziecko moje!  
 Przerwał biedak, tłumaczyć zaczął —  
 Meja ostatek nagrodzona  
 Tys mój Junek! — Ty kochanie!  
 — I przycisnął go do tona,  
 Jakby piękny ten świat cały  
 W jego teraz skrył się niebie!  
 A dwa serca uderzały

Jednem tętnem obok siebie!  
 I pachole w tym nęcisku  
 Dzwone mrzonki jakieś snuło. —  
 Przy biedaka serca blisko  
 Wiele, wiele szczęścia czuło!  
 — Zkad ty wracasz dzieńku miły? —  
 — Zuów po chwili go spytało —  
 Ty iść dalej nie masz siły,  
 Tys już uszedł mił nie mało? —  
 — Wracam tu do mej ojczyzny —  
 Mówił dziadek — do swej roli —  
 Hen daleko z Tatarszczyzny  
 Gdzieś lat kilka był w niewoli —  
 Z Tatarszczyzny? — Wielk. Bożo  
 Szepiał malec rozczulony  
 — boć na przyszlę wiosnę może  
 Ja pojedę w tamte strumy.  
 A to po co? — rzekł po chwili  
 Z podziwieniem w bladej twarzy  
 Drżący zebrak — Wszak Tatarzy  
 Mego ojca mi zabili —  
 Mówił chłopak ze łzą w oku. —  
 Jeno szala przy tymy boku  
 Raz złowrogo im załżwieknie —  
 Tatarszczyzna cała jęknie!  
 Jednym płaczem tak bolesnym,  
 Jak jam płakał ojca straty.

Gdy u progu własnej chaty  
 Zgasł na wieki rankiem wczesnym!  
 O' ja pójdę jak gniew Boży  
 Na ich stępy dziś spokojne,  
 I tam taką wzniecę wojnę,  
 Że aż świat się mna zatrwoży,  
 A po całej naszej ziemi  
 Wiatr o zemście wieść rozniesie  
 Będą drzewa szumieć w lesie  
 Liśmi swemi zielonemi  
 O mej zemście. Wszystko wszędzie  
 Jak szeroki świat ten cały  
 O mej szablę mówić będzie! —  
 Przy tem hra mu pałaly,  
 Jakby ogień z nich wytryskał  
 Jakby płomień z oczu mu błyskał  
 I w tej olwadzie zlawalo,  
 Że to rycerz z groźnem okiem  
 Nie pachoło przemawiało! —  
 Zachwycony tym widokiem  
 Biedak porwał znów w objęcia  
 Tatarskiego gronciela  
 I ojcowskiej krwi mu wlela  
 A na ciele pacholęcia  
 Saladał czule i ociekami —  
 — Darme dziecko twe frasunki  
 Mówił, idąc ku dworowi,

Rady nie dasz Tatarowi  
 Jedną szablę nie podaje  
 Jeszcze araju tatarskiego,  
 Zresztą mścić się nie masz czego.  
 Bo twój ojciec dotąd żyje!  
 Żyje, — mówi Janek mały —  
 Ale nie ten ukochany,  
 Co go miała dla mnie dały!  
 A wskazując dwa kurhany,  
 Dodał z żalem Lardzo smutno  
 Ten spłotał, tu mu wroga  
 Dłoń zadana śmierć okrutną.  
 On już pewno tam u Boga  
 W jasnych chmurach z aniołami  
 Po świetlanych gwiazdach lata  
 I tam modli się za nami. —  
 Ten, co żyje także tata  
 Ale tata mój przybrany.

— Wiesz? — jęknął biedny  
 W się dziadku mój kochany —  
 Prawił nalece mu bezwiedny,  
 Że matula swoją rękę  
 Po raz drugi już oddała! —  
 Twarz żelazka pobledła —  
 — Na Chrystusa krwawą mękę  
 Co się dziadku z tobą dzieje?  
 Matko! Ojciec! co się stało

Dziadek pada! dziadek mdleje!  
 Tak pachole powtarzało,  
 Gdy przy progu swego domu  
 Janek runął pod tę wieścią,  
 Która siłę miała gromu  
 I zabiła go — boleścią!  
 Wszyscy zbiegli się do koła,  
 Niosąc pomoc omdlałemu —  
 Tylko Hanna — nie wiem czemu —  
 Rozgarnawszy włos od czoła,  
 Ze wzruszenia jak liść drżała,  
 Nad półtrupem pochyłona  
 Nieprzytomnie powtarzała  
 Ach ten biedak pewno kona!  
 Naraz Janek wzniósł żrenicę,  
 Łzy po licach się stoczyły;  
 Ale biednej Hanny lice  
 Barwą śmierci się okryły,  
 W myśli wszystko się zmieszalo,  
 Serce w piersi bić przestało,  
 A przed okiem świat majaczy  
 W całej pięknej swej wielkości —  
 Z piersi Hanny krzyk radości,  
 Lecz zarazem i rozpacz  
 Zabrzmiął strasznym jakimś dźwiękiem  
 Jak zerwanej struny jękiem.  
 Janek wrócił mój stracony,

Łkając Hanna zajęczała  
 Janku! Janku!! ulubiony!!  
 Jam po tobie tak płakała,  
 Że aż serce marło we mnie —  
 Gdzieżeś bywał mój kochanku?  
 Coś porabiał tam bezsensnie  
 Mój jedyny drogi Janku!  
 Takie czułe Hanny słowa  
 Sercem Janka poruszyły,  
 Wyczerpnawszy wszystkie siły  
 Szepnął jeszcze —: bywaj zdrowa  
 Hanno moja — żono droga —  
 Stał się anioł mi u czoła,  
 Anioł śmierci i do Boga  
 Moją grzeszną duszę woła. —  
 Żegnaj Hanno! — Synu miły!  
 Ja was z serca błogosławię —  
 Żegnaj drogi Stanisławie  
 A czasami u mogliły  
 Zmówcie pacierz . . za mą duszę . .  
 Czas mi w drogę . . już idę muszę .  
 Jak mi ciemno . . gdyby . . w grobie!  
 I wyciągnął swe ramiona  
 Na krzyż złożył ręce obie. —  
 Hanna jęła: Janek kona!  
 On usypiał już na wieki,  
 Usta zwolna mu pobiadły

I zmartwiały już powieki  
Na zamglone oczy spadły

## IX.

W dwa dni potem znów kurhanek  
Jak z pod ziemi wyrósł świeży,  
Pod nim cicho biedny Janek  
Na ojezystej ziemi leży.  
A na kurhanu czyjeś ręce  
Poznosiły kwiaty, wieńce —  
I tak w różne piękne kwiecie  
Mogilniczek ten ubrały,  
Jakby na tym całym świecie  
Oprócz niego nic nie miały. —  
Że to Hanna pojąć łatwo.  
Nieraz wraca od kurhanka  
Z mogilnika swego Janka  
I przed wiejską staje działwą —  
Ma na skroniach kwiatów kiście,  
Jakieś trawy, jakieś liście,  
W dłoniach ziele i burzany,  
I w okółko tem potrząsa,  
Czasem i lzy w oczach miewa,  
Lecz wesoło przytem śpiewa  
I dziwacznie sama płasa.  
Ludzie stają, spoglądają

Na ten Hanny strój dziwaczny,  
Na ten straszny śmiech rozpaczny  
I głowami potrząsają. —  
W każdym oku zła zamglona,  
Żła współczucia tm widnieją —  
Ale Hanna już szalona  
Dziwnym śmiechem z łez się śmieje;  
Gdzieś jej myśli się rozbiły  
W obłąkanych uczuć kole,  
Nawet mały Janek miły,  
Jasnowłose jej pachole  
Już jej wzruszyć nie zdołało,  
Kiedy patrząc na szaloną  
Czasem w głos się rozplakało. —  
— Nie płacz — nie płacz — jutro pono —  
Biedna Hanna powtarzała —  
Wróci ojcisko z Tatarszczyzny  
Wróci do nas — do ojezyny,  
I znów w płasach zaśpiewała —  
Stach zasmutniał, w jego twarzy  
Dziwny także płomień żarzy,  
Jakby krwią oblane słońce,  
Serce z bólu w piersi taje,  
Porozsyłał liczne gońce  
Aż w zamorskie pono kraje  
Swojej Hanny po medyka.  
Żal tymczasem w duszę wnika.



Widząc Hannę jak co ranka  
 Wybiegała do kurhanka,  
 Jak płała, jak spiewała  
 I jak Janka wyglądała. —  
 Stał się modlił przez dnie całe  
 Do Pańskiego przemienienia,  
 A tak lica mu zbierało,  
 Że podobien był do cienia  
 Nie do człowieka żyjącego. —  
 Wreszcie Hannie najlepszego  
 Zesłał z nieba Bóg medyka.  
 Błady medyk zimną dłonią  
 Zrobił Hannie krzyż nad skronią  
 Gdy u Janka mogiłnika  
 W głos wesół piosń spiewała,  
 Hanna drgnęła śpiew przerwała  
 Zesztywniała i pobiła  
 I na kurhan swój upadła  
 I wieczystem snem usnęła. —  
 A jej dusza popłynęła  
 Strugą światła obłeczona  
 Niby rajskim jakimś wiankiem  
 Gdzieś za ocean i za Jankiem!  
 Hanna zmarła — pieśń skończona.

## X.

Ale może mnie spytacie  
 Co się z Stachem, z Jankiem stało?  
 Oni po tej ciężkiej stracie  
 Byli w dworku bardzo mało —  
 Opuścili swe Podole —  
 Stach pojechał, z nim pachole,  
 Bo to właśnie w czasie owym  
 Polskę Szwedzi najechali,  
 Kraj okrzykiem wrzał bojowym  
 Więc na wojnę się wybrali  
 Chcąc z ojczyzny wygnąć Szwedy. —  
 Dziwić was to będzie może,  
 Że i małe to nieboże  
 Szło do wojny? — O wszak wtedy  
 Nawet małe pochołota  
 Już ojczyznę swą kochały  
 I jak pacierz to wiedziały,  
 Że ojczyzna matka święta,  
 Że im chlubą będzie wieczną  
 Ka ojczyznej tej obronie  
 Uzbrojone podnieść dłonie,  
 I krew przelać swą serdeczną  
 . . . . .  
 Jakże losy ich spotkały  
 Na tej wojnie ze Szwedami

O tem lipy nie szumiły,  
 I ja siedząc pod lipami  
 Nie słyszałem dalszych dziejów. —  
 Insza pewnie okolica  
 Była świadkiem ich kolei. —  
 Może kiedy ciemnocica  
 Jaka lipa królewianka,  
 Co powieści dawne niewa,  
 Swoim gwarem mi wyspiewa  
 Losy Stacha, dolę Janka. —

